

Pełnej dowolności dla biznesu nie będzie

Jan Golba: Umożliwienie inwestowania – tak, ale nie dla przedsiębiorstw, które mogą znacząco negatywnie oddziaływać na środowisko

Jan Golba burmistrz Muszyny i szef Stowarzyszenia Gmin Uzdrawiskowych RP

Ministerstwo Zdrowia chce zmienić definicję zakładu przemysłowego, by ułatwić prowadzenie działalności gospodarczej w gminach uzdrawiskowych. To dobry pomysł?

Zdecydowanie tak. Praktycznie rzecz biorąc, dzisiejsza definicja hamuje jakąkolwiek przedsiębiorczość. Jak tylko pojawia się kwestia „zakładu przemysłowego”, np. przy zmianie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego czy studium, oznacza to potężny problem. Definicja zakładu dziś, że zakład przemysłowy to zespół budynków i urządzeń wraz z terenem, na którym prowadzi się działalność wytwórczą polegającą na przekształceniu mechanicznym, fizycznym lub chemicznym materiału, substancji lub części składowych w nowy produkt. Pod taką definicję można podciągnąć niemal wszystko. To może być np. ciastkarnia, lodziarnia, a nawet rozlewnia, która jest związana z funkcjonowaniem uzdrawiska. Organy budowlane wprost interpretują przepisy, a to uniemożliwia nam lokowanie usług i zakładów, które są ściśle związane z uzdrawiskiem i turystyką, a więc działaniami, które wcale nie kolidują z funkcją uzdrawiskową gminy.

Jak obecne uregulowania wpływają na mieszkańców? W praktyce są skazani na pracę w branży sanatoryjno-uzdrawiskowej, a jeśli chcą zająć się czymś innym, muszą uciekać do sąsiednich gmin lub dalej?

Takie rzeczywiście są efekty. Jeśli ktoś nie może założyć działalności, uzyskać niezbędnych zezwoleń, to nie inwestuje. I takie sygnały płyną do nas z całej Polski od początku 2011 r., kiedy mimo sprzeciwu Stowarzyszenia Gmin Uzdrawiskowych RP nastąpiła zmiana ustawy. Od tamtej pory postulujemy o zmiany, ale bez rezultatu. Dwa lata temu przy ministrze zdrowia powołano specjalny zespół, który również temat podnosił. Na razie jednak ciągle słyszymy, że trwają jakieś analizy. A rozwiązanie tego problemu jest dla nas niesamowicie ważną sprawą.

Resort zdrowia w rozmowie z nami deklaruje, że przy planowanej nowelizacji ustawy uzdrowiskowej przewidziano m.in. zmianę definicji zakładu przemysłowego – poprzez ograniczenie jej do takiej działalności, której prowadzenie może wywierać znaczący, negatywny wpływ na środowisko.

To ułatwia problem. My i tak nie możemy i nie chcemy lokować inwestycji mogących znacząco negatywnie oddziaływać na środowisko, więc to dobry kierunek.

A nie obawia się pan, że wskutek takich zmian uzdrowiska zaczną zmieniać się w kurorty dla masowej turystyki – z lodziarniami, goframi na każdym rogu itd.

Nie sądzę, by aż tak daleko to zaszło, bo trzeba brać pod uwagę również plan zagospodarowania przestrzennego i nie można z góry zakładać, że w gminach uzdrowiskowych rządzą osoby nierozumiejące tych problemów i dające przedsiębiorcom pełną dowolność w tym zakresie. Te czasy już dawno minęły. Owszem, mogą się zdarzyć pewne jednostkowe przypadki, gdzie jakieś niepożądane zmiany się pojawią. Ale pamiętajmy, że w grę wchodzi jeszcze status uzdrowiska, który oparty jest o operat uzdrowiskowy i weryfikowany na wielu poziomach, w tym przez Ministerstwo Zdrowia, a w nim trzeba zawrzeć pewne obostrzenia. Nie ma więc zagrożenia dla samych uzdrowisk w kontekście wymogów, jakie są przed nimi stawiane.

Co w praktyce może oznaczać „znaczący, negatywny wpływ na środowisko” w świetle nowej definicji zakładu przemysłowego?

Głównie dotyczyć to może zakładów przemysłowych czy usługowych, tzw. głośnych i uciążliwych dla otoczenia. Obecnie ten przepis dotyczy też wyciągów narciarskich, które oczywiście zakładami nie są, ale są to inwestycje mogące znacząco oddziaływać na środowisko. Akurat w tym zakresie prowadzone są prace nad zmianą tych przepisów. Podchodzić pod nową definicję mogą też pewne przypadki z zaszłości. Przykładowo w Krynicy w strefie uzdrowiskowej „A” istnieje zakład w postaci rozlewni wody mineralnej. W efekcie tiry wjeżdżają do centrum Krynicy i to oczywiście należałoby wyeliminować. Teoretycznie dałoby się to zrobić nawet teraz, ale to bardziej kwestia chęci i determinacji niż przepisów. Nie będzie to dotyczyć zapewne wszystkich tego typu przypadków, bo uzdrowiska powstawały w różnych okolicznościach i funkcjonowały w odmienny sposób. Dla nas większym problemem niż ciastkarnia czy piekarnia są np. apartamentowce w strefie uzdrowiskowej.

Ma pan na myśli najem krótkookresowy, z którym część samorządów zaczęła walkę?

Tak. W częściach mieszkalnych tworzone są apartamenty pod wynajem. A to totalna kolizja – dwa różne światy, jeśli chodzi o funkcjonowanie obiektu. Mieszkańcy po godz. 22 oczekują ciszy i spokoju, a osoby przyjeżdżające do apartamentów nierzadko bywają hałaśliwe. Znam przykłady, że w jednym budynku było sanatorium, a w przylegającym do niego apartamenty

na wynajem, w których odbywały się huczne imprezy. Tego nie da się pogodzić, bo kuracjusze oczekują spokoju i warunków do leczenia.

Ponoć dużym problemem są tzw. niedojazdy kuracjuszy?

Z tym zagadnieniem wiążą się tak naprawdę dwa potężne problemy. Jeśli ich nie rozwiążemy, to będziemy mieli generalny problem z funkcjonowaniem lecznictwa uzdrowiskowego w Polsce. Pierwszy to kwestia dziennych stawek za jednego kuracjusza. One są tak niskie, że nie zabezpieczają żadnych środków na modernizację i remonty substancji hotelowej i leczniczej. Te stawki wystarczają na przeżycie – zabiegi, utrzymanie personelu czy wyżywienie, ale już absolutnie nie pozwalają na odnowę bazy. A normy zatrudnienia, zwłaszcza wobec personelu medycznego, są w odniesieniu do sanatoriów i szpitali uzdrowiskowych bardzo wyśrubowane. Tymczasem mamy niskie stawki i do tego jeszcze te niedojazdy. Za nie nikt nie otrzymuje żadnego wynagrodzenia. A obiekt pozostający w gotowości mający zatrudnioną załogę co najwyżej oszczędzi na wyżywieniu. Ale to koszty osobowe są największe, bo w takich obiektach stanowią nawet 65–70 proc. wszystkich środków na utrzymanie. Już są przypadki, że gminy czy spółki chcą rezygnować ze szpitali uzdrowiskowych, a także sanatoriów. Z danych GUS wynika, że w ostatnich latach liczba sanatoriów się zmniejszyła. Nikt nie bierze tego pod uwagę, a grozi nam pełzająca likwidacja lecznictwa uzdrowiskowego, m.in. na skutek tego, że mamy zaniżone stawki. To wymaga pilnego rozwiązania.

Kto najbardziej odczuwa dziś problem niedojazdów?

Wśród 25 spółek uzdrowiskowych mamy zaledwie dwie spółki państwowe – w Krynicy i Rabce. Do tego osiem spółek, których właścicielem jest samorząd województwa. Dochodzą jeszcze dwie spółki – w Sopotcie i Uniejowie – komunalne. Są też cztery spółki, które kupiły od państwa spółki uzdrowiskowe. Wśród tych spółek jest także kilkanaście sanatoriów, szpitali uzdrowiskowych czy zakładów leczniczych. Są też oddzielne sanatoria funkcjonujące jako zakłady lecznictwa uzdrowiskowego, które są własnością prywatną. Jedenaście sanatoriów jest własnością państwową, bo należą np. do MON lub MSWiA. Jak widać, zakres własnościowy jest bardzo szeroki. Niedojazdy może nie dotyczyć obiektów państwowych, ale reszta ma duży problem. Czym się ratują? Tam, gdzie są spółki, zazwyczaj wcześniej funkcjonowały rozlewnie wód. Dlatego sprzedają wodę do konsumpcji, np. uzdrowiska kłodzkie mają swoją „Staropolankę”, Krynica „Kryniczankę”. Niektórzy sprzedają wodę innym sanatoriom dla celów zabiegowych. A co mają zrobić ci, którzy prowadzą tylko działalność leczniczą? Z czego mają inwestować, jak one walczą o utrzymanie się na rynku? W sąsiednich państwach, takich jak Słowacja czy Czechy, te stawki są prawie dwukrotnie wyższe.

Jak w takim razie walczyć ze zjawiskiem niedojazdów?

One wynikają z wielu powodów. Czasami jest to zdarzenie losowe, czasami choroba, ale też bardzo często niechęć do skorzystania z leczenia w wyznaczonym terminie. Zdarza się też, że leczenie uzdrowiskowe jest

traktowane jak wczasy. A więc ktoś chce zabrać męża czy żonę i interesuje go wyłącznie pobyt w sezonie. Tu polityka NFZ powinna być restrykcyjna. Jeśli ktoś zrezygnuje z wyjazdu w wyznaczonym terminie i nie jest to związane z ważnym powodem, to takie osoby powinny być eliminowane z przydziału miejsca w sanatorium. Sanatorium powinno mieć jednak płaconą kwotę ryczałtową. Dzięki temu unikniemy jednostronnej odpowiedzialności za skutki niedojazdów. A w przypadku sanatoriów jest to utrata przychodów. Dziś te skutki finansowe odczuwa tylko sanatorium. NFZ już nie, bo nie musi płacić za niewykonanie i ma oszczędności. To musi się zmienić

Autor: Tomasz Żółciak